

Sońka

IGNACY KARPOWICZ



Sońka

IGNACY KARPOWICZ



© Copyright by Ignacy Karpowicz

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna: *Anita Kasperek*

Redakcja: *Waldemar Popek*

Korekta: *Henryka Salawa, Małgorzata Wójcik, Ewa Kochanowicz*

Projekt okładki, stron tytułowych i układ typograficzny:

Przemysław Dębowski, Wojtek Kwiecień-Janikowski

Zdjęcie na okładce: © *Juan Facundo Mora Soria / Getty Images*

Zdjęcia na wyklejkach: © *David Roseburg / Corbis / Fotochannels,*

© *Dave Zubraski / Corbis / Fotochannels*

Redakcja techniczna: *Bożena Korbut*

Autor na napisanie powieści otrzymał stypendium

Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Na wsi ludzie łatwo się znajdują, czy tego nie chcą, czy chcą, no, chyba że giną, wtedy to kamieniem w wodę, nikt nic nie widział, nie słyszał, nie poczuł, zwykłe plusk. Wieś to mały świat, w zasięgu słuchu i wzroku, wszyscy żyją tak blisko siebie, że nic niczyjej uwagi ujść nie może, a potem – kara, rzadko sprawiedliwa. Wymknęłam się z *chaci* jak zawsze. Ojciec i bracia spali ciężkim, płaskim snem, niby po maku. Za bramką otarł się o moje nogi Wasyl. Zamiauczał wysoko i żałośnie. Schyliłam się, żeby go pogłaskać. Wtedy wydało mi się, że coś usłyszałam, coś z rodzaju łamiących się gałązek, powstrzymywanego oddechu i kropelki potu wzbierającej pomiędzy piersiami. Nic to jednak, poszłam swoją drogą, do mostu. Od razu dostrzegłam Joachima: w moich oczach, które światło dnia coraz częściej raziło i oślepiało, odbił się wyraźny kontur, ciemna obwiednia. Połyskiwały dwie stalowe błyskawice na jego mundurze. Wydawało mi się, że te błyskawice, tak blisko siebie, rozpalone na moment w oślepiającym błysku – to my.

Pocałowałam go i wzięłam za rękę. Po raz pierwszy był wszędzie spięty, twardy i nieobecny. Kanciasty, jakby z kątów, bez kółek i krzywizn. Zeszliśmy nad brzeg, a on zaczął opowiadać jakąś historię. Najpierw sądziłam, że to taka historia.

Już niedługo wojna się skończy. Nie będzie frontu, nie będę tu potrzebny. Zabiorę cię do mojej matki, ma piękną willę pod niemieckim miasteczkiem Haradok. Ojciec umarł dwa lata temu, był nauczycielem. Matka się ucieszy. Na pewno cię pokocha. Matka moja przepowiada przyszłość i przeszłość; jest dwubiegunowa. Potem weźmiemy ślub. Będziesz czasem gotować *polnische* jedzenie. Wszystkim posmakuje. Będziemy mieli pięcioro dzieci: Waschil, Griken, Jan, Phrosch, Schiessen. Będziemy jeździć do kurortów i nad morze (morze to po niemiecku *Juden*). Będziemy mieli kota o imieniu Raus. Kot będzie się wygrzewać w słońcu i łowić *Schweine* (to po niemiecku myszy). Sąsiad, starszy elegancki pan w garniturze w prążki, *Herr Abramowitsch*, zapisze nam swój majątek. A inny sąsiad, też z Polen, pan Buchwald, wyda swoją córkę za naszego pierworodnego.

Naprawdę na początku pomyślałam, że to taka historia. Panika, która we mnie zatrzepotała, gdy zobaczyłam Joachima, zmąciła mi rozum tak bardzo, że nie wiedziałam tego, co wiedziałam. Ludzie przecież gadali. Panika obijała się we mnie jak wyschnięta fasola o ścianki puszek. Z każdym jednak zdaniem uświadamiałam sobie, że za dużo rozumiem w tym kompletnym niezrozumieniu; imiona naszych nienarodzonych dzieci brzmiały podejrzanie znajomo, zniekształcone tylko w tym charkotliwym narzeczu. Wtedy usłyszałam inną historię, wyzierającą spod tej pierwszej; słyszałam tę inną historię setki razy, już nie z ust Joachima, lecz tych, co przeżyli lub widzieli, lub oganiali się od koszmaru jak od płomieni, machając rękoma i tylko podsycając żar. A może to nie o nich wcale była ta historia, ale o moich braciach i mężu? A może to wcale nie było, lecz będzie?

Zebraли ponad sto osób niedaleko drewnianej synagogi w Gródku, tej, co stała blisko cerkwi. Upalny dzień.

Żydzi stali zbici w gromadę. Bali się. Byli tam drobni kupcy, karczmarze, szewcy. Były ich rodziny. Ci, którzy jeszcze coś posiadali: może niewiele, mimo to jednak, jednak coś mieli. Mieli buchalteryjne zapiski w zeszytach, koszmary o Jahwe, bo ich Bóg jeszcze od naszego paskudniejszy, mieli bar micwy na głowie i panny na wydaniu. Rozkładali bezradnie ręce, upychali ręce po kieszeniach, zaciskali ręce w pięści.

Byli to ludzie starzy, pachnący kurzem i naftą z lamp; byli tam też młodzi, pachnący słońcem i świeżym potem. Za kordonem żołnierzy gromadzili się mieszkańcy Gródka. Niektórzy współczuli, niektórzy nie rozumieli, niektórzy liczyli na umorzenie długu. Niektórych bawiło nagłe upokorzenie majątniejszych sąsiadów, niektórych przerażało.

Żołnierze najpierw wyrwali młodego chłopca ze zbitej grupy. – *Sehr gut* – powiedział Joachim; tak samo kiedyś odezwał się do mnie. Żołnierz wyciągnął mauzera z kabury, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust. Nic więcej, fontanna kropelek krwi i pokruszonych kości.

Sonia kręciła głową, jak gdyby nie rozumiejąc wiele z tego, co przywoływała, a czego nie widziała na własne oczy. Ostatecznie może to wszystko zmyśliła? Może w starciu opowieści z historią to prawda zawsze wychodzi poturbowana? Igor leżał, spiął się. Już pojedyncze cierpienie, na przykład własne, niechby i od anginy nieodległe, źle znosił, cierpienie masowe, odgórnie zaplanowane i oddolnie wprowadzone w czyn – go paraliżowało. Nie potrafił słuchać, współczuł mechanicznie, w bezwarunkowym odruchu tępej solidarności.

W jaskrawej iskrze, która przeskoczyła na niego z Jozika Pasterza Myszy, pojął, iż musi zapamiętać więcej nawet, niż Sonia opowiadała, że musi pamięć zaprząć w teatralny lub powieściowy kierat, by siebie ocalić, by wreszcie opowiedzieć jakąś prawdę, zawałczyć o coś. Chociaż to akurat przeczuwał chyba od samego początku, już od progu.

Chłopak upadł. *Baciuszka* powtarzał, że *Boh* upadłych podnosi, a nieupadłych powala. *Boh* nie podniósł chłopca, nie wcisnął w niego kropelek krwi ni okruszków kości. Czyżby żydowski Jahwe nie był aż tak łaskawy albo mocarny? W końcu u nas w Haradku to On był jakby na obczyźnie – daleko od piasków i pustyni, tułacz. A może na to nie zasłużyliśmy? Przecież dla chłopca nie miało już nic znaczenia, to w innych rodziło się nieszczęście, to inni potrzebowali cudu i otuchy. Widać nie zasłużyliśmy na Łazarza. Chociaż Łazarz, na zdrowy rozum, nie nasz był, a Żyd był jak wszystkie pierwsze *chrześcijany*.

Podobno nikt nic nie mówił. Niemcy pojedynczo wyciągali ludzi, przystawiali broń do skroni i pociągali za spust. Każdy taki upadek wrywał kilka osób z kręgu obserwujących zajście sąsiadów. Ci ludzie szli do domów, jednak nie własnych. Widząc śmierć sklepikarza, udawali się do opuszczonego sklepu. Widząc śmierć szewca, szli do bezpańskiego zakładu.

W końcu zostali tylko stary pan Buchwald oraz *baciuszka* i katolicki ksiądz. Wtedy niemieccy żołnierze nagle odeszli, zostawiając prawie setkę trupów, troje żywych i roje much. Muchy od razu zwęszą trupa i gówno. Niemcy po prostu odeszli, jakby to zdarzenie nie miało większego znaczenia, jakby skończył się czas pracy i przyszła pora na odpoczynek. Niemal setka martwych, troje żywych i muchy.

Taka była, być może, historia Joachima. Już nie myślałam, że *Juden* to po niemiecku morze, że *Raus* to kot, a *Schweine* to myszy. Najbardziej współczułam Joachimowi. Kochałam go i on ciągle żył, mimo to mu współczułam, nie potrafiłam inaczej. Mój biedny, jasny Joachim, jego piękne ciało, nagle obrysowane powykręcanyymi sylwetkami zwłok.

Joachim przestał mówić. Do dziś nie wiem, co mi tamtej nocy próbował opowiedzieć: o przyszłości i mordzie w miasteczku, a może o przyszłości po mordzie albo o przyszłości bez przyszłości, nie wiem. Ścisnął mocno moją rękę. Bolało, ten ból był jednak niczym w porównaniu z bólem odczuwanym przez niego. Zaczął płakać. Mówił i płakał, bez żadnego związku. Potem położył głowę na mojej piersi i milczał. Oddychałam z workiem kamieni na piersi.

Nie siedzieliśmy długo. Nawet mnie nie pocałował na pożegnanie, tylko dotknął ramienia, a następnie piersi; mój sutek stwardniał.

Patrzyłam, jak odchodził: już dawno rozplynął się w mroku, mimo to stałam nieruchomo, zastanawiałam się, czy mój Joachim jest nocnym przywidzeniem, czy jednak mężczyzną z krwi i kości.

Ktoś dotknął mego ramienia.

– *Ty ni swaja. Ty bladź.*

Nie wiedziałam, kto wypowiedział te słowa. Ogłuszona byłam jeszcze tym, że mnie Joachim nie pocałował na pożegnanie ani nie wszedł we mnie na przywitanie. Bolały mnie te słowa, jednocześnie cieszyły, bo oto miałam dowód, że Joachim jest rzeczywisty. Potem obcy głos mnie popchnął, upadłam, a on mnie przydusił do ziemi. Leżałam na brzuchu, z piaskiem w nosie i między zębami. Język tak silnie przywarł do ziemi, że nie zdołałam go wciągnąć. Ręka przydusiła mnie z potężną siłą. Potem druga ręka obcego głosu zadarła sukienkę.

Broniłam się, lecz nic to nie dało. Byłam jak dziecko protestujące przeciwko niesprawiedliwej decyzji rodziców. Głos był dużo silniejszy. Próbowałam zrzucić go z siebie, po kilku kułakach w głowę straciłam przytomność. Ocknął mnie rozdzierający ból. Głos sapał nad moim uchem, krople jego potu i śliny spadały mi na kark, a jego *struk* rozrywał moje ciało. Gwałcił

mnie jak owcę, od tyłu, starając się zadać jak największy ból. Prawie nie dawałam rady łapać powietrza. Wreszcie skończył. Wstał ze mnie. – *Ciapiersrać ni budziasz, job twaju mać.* – Nie mogłam się poruszyć. Ciepła ciecz wypełniła moje ucho, by spłynąć do ust. To był jego mocz. Krew, kał, sperma, mocz.

(Mała ojczyzna, pomyślał Igor).

Leżałam długo. Chyba. Dopiero psi język wrócił mi kapkę życia. Nie wiem, w jaki sposób Borbus wy dostał się z podwórka. Ojciec go uwiązywali, bo kury po sąsiedzku dusił. Potem jacyś ludzie mnie podnieśli i odprowadzili do domu: kobieta i mężczyzna, a może to sama ja byłam? Może ich tylko wymyśliłam, bo tak bardzo nie chciałam być osamotniona w upodleniu?

I czy ta wojna to była naprawdę? Czy tylko w mojej głowie?

Za oknem ściemniało się, zaszczekała Borbus Dwunasta, Sonia wstała i archaicznym, przekręcanym włącznikiem zapaliła światło. Żarówka wolframową nitczką wwiercała się w czaszkę Igora, chrobocząc niczym stomatologiczne wiertło, dlatego podniósł się on z podłogi. Jak szybko minęły godziny, pomyślał, jak bardzo się zużyłem.

(I mam nadzieję, że mi krowy rogami nie zarysowały auta, dopowiedział, nie wiem, czy polisa pokrywa było).

Rzeczywiście, Igor w nieostrym świetle dostrzegł na własnych rękach drobnutkie plamki wątrobiane, dostrzegł suchą skórę na przedramieniu, dostrzegł pojedyncze siwe włoski na łydkach, źdźbła szronu, dostrzegł tego innego w sobie, z przeszłości, z początku; chyba jednak trzeba będzie jeszcze poskrobać.

Nie przestraszył się, że zachorował na starość, pomyślał tylko, iż kontakt z baśnią lub mitem wyniszcza ciało. I że dzieciństwo na zawsze w człowieku zostaje, jak pory roku czy okrucieństwo: można się go zaprzecić,

ono jednak nie da się zabić, zamalować, zapomnieć – można co najwyżej rozstawić parawan.

Ciało Soni, wręcz przeciwnie, nabierało jędrności, nawet piersi napięły materiał sukienki, nawet włosy wymknęły się spod kwiecistej chustki w błysku złota – nie rtęci czy srebra – pszenica tak świeci, sama z siebie prosto kole w oko.

Sonia wyszła przed dom, a za nią podążył jej gość. Noc zapadła niespodziewanie. Poświata gwiazd wyszorowała gotyckie litery na obroży suki, zaślniły one teraz zimno i niebiesko. Sonia wzięła Igora pod ramię: tamtej chwili to ona wydawała się młodsza. Charakteryzatorzy doprawdy spisali się na medal.

Poszli w stronę rzeki. Za bramką zaświeciły zielono kocie oczy.

– Tu stał most – powiedziała. – Teraz jest inny, betonowy. No i bez Joachima. I bez wojny. Ach – nieomal krzyknęła – jak ja tęsknię do wojny! Czemuż się skończyła!?

Igor odbywał później wielokrotnie podobny spacer, nazywał go dokumentacją. Głównie nocą, bo za dnia to jednak wypytywał mieszkańców Królowego Stojała i dumnej mikrokosmicznej Słuczanki. Pytał o Sońkę. Jaka była? Mówcie śmiało, już jej nie ma pomiędzy żywymi.

Ludzie mówili: „biała” albo „kulawa”. Albo: „dobra”. A to nic nie znaczyło, to było jak powietrze w płucach, jak unik, bezdech.

Dlaczego pozwolili jej dożyć naturalnej śmierci? Przecież nie z litości ani z dobroci. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, nikt z Igorem nie chciał rozmawiać; odpowiedzi głucho zatrzęsnięte, spust na kłódce, serce głucho w klatce piersiowej, siano, sianem się wywijali. Aż wreszcie Igor silnie sięgnął do swoich młodych lat, w których przechowywał najwcześniejsze wspomnienia związane z komunikacją międzyludzką na terenach pogranicznie wschodnich. Przypomniał sobie, że tu, na rubieżach cywilizacji, poważna rozmowa rozpoczyna się po dwóch flaszkach bimbrowa.

Pił dużo z miejscowymi. Niektórych nawet w dziwaczny sposób polubił. Nie czytali książek, nie odwiedzili nigdy teatru ani kina, a dom kultury – tylko zwany świetlicą, bo długo jedynie świeczki tam były, żadnego prądu – wtedy gdy coś za darmo dawali albo kazali. Karmili się telewizorem i Cerkwią, a mniej liczni Kościołem, a wszyscy – plotką. Plotka nadawała sens wolnym godzinom, pożerała je, że ani się obejrzel, a przeżyli już życie. Była jak pieprz. I sól. Jak smak. Jak rdzeń łądygi. Jak rabarbar. Krew z krwi, złość ze złości, zawiść warząca mleko.

Igora odurzał ich hart. Oni nie zapominali i nie przebaczała. I byłby ich znienawidził i sobie nimi popogardzał w swojej klasie średniej prawie wyższej, gdyby nie to, że niekiedy oni również odstępowali od wymierzenia kary. Umieali też cierpieć długo i bez skargi. Nie liczyli na sprawiedliwość, nie byli szaleńcy, dostosowywali się do historii wżartej w świat jak czerw w ciało. Dziwny gatunek człowieka, myślał Igor. Zasługuje na głęboki szacunek, równocześnie nie budzi sympatii, czasem brzydzi. Trudno coś o tutejszych pomyśleć jednoznacznego. No i muszę pamiętać, że ja też jestem stąd.

Po pewnym czasie, po litrach alkoholu, zaczęli mówić. Sońka była szeptucha.

Potrafiła rzucić urok na krowę, żeby zdechła. Na maciorę, żeby oprosiła się martwo. Na pannę młodą, żeby jej przyszcze przed ślubem nawyskakiwały, a sutki spuchły do rozmiaru dorodnego rydza.

Sońka to była, mówili inni, nasza kara za paskudztwa wojny. Nasza pamięć, mówili ci najbardziej pijani i refleksyjni, źli jesteśmy, źli, a ona najgorsza z nas wszystkich. Najgorsza, bo nie żałuje. Nie żałuje suka i kurew ani kapki, ani kropelki krwi, nawet tyci, co brudu za paznokciem.

Sońka, ona pomagała, mówili inni, umiała zama-
wiać popiołem. Przeganiała choroby, leczyła zwierzy-
nę. Bańki stawiała.

Nie była zła ta Sońka.

Dopiero w czasie pracy nad spektaklem Igor uświa-
domił sobie, że o Sońce źle mówili głównie mężczyź-
ni, a dobrze – kobiety. Z jednej strony kara, z drugiej
zrozumienie, choć i to jest nieprawda.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl